

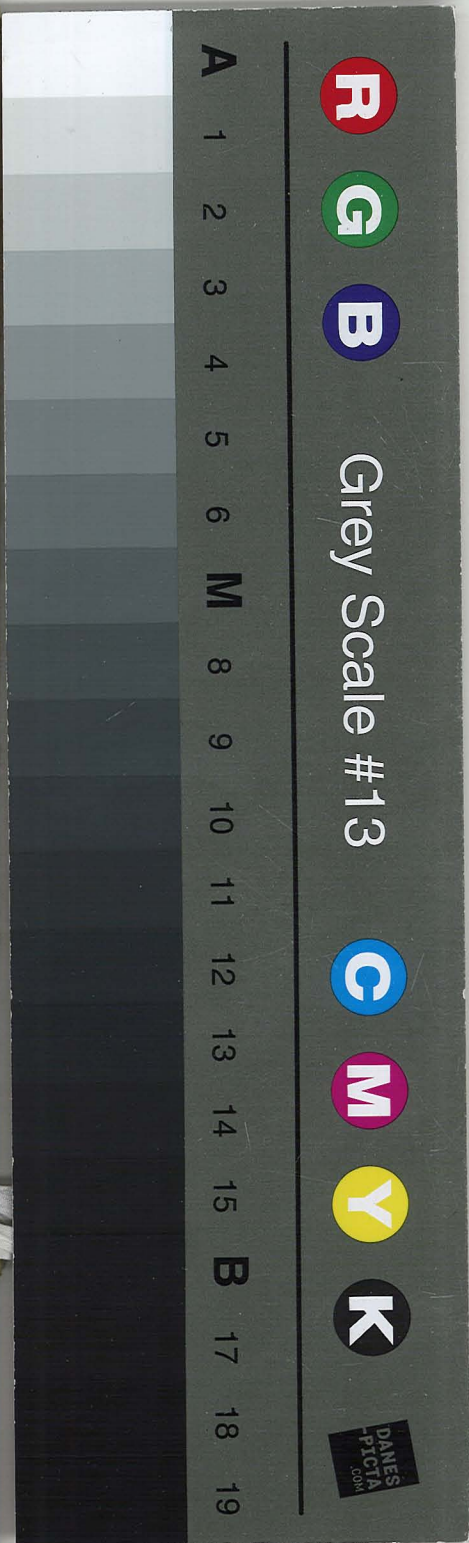
Towarzystwo Naukowe Płockie
Biblioteka im. Zielińskich
Plac Narutowicza № 2
09-402 PŁOCK

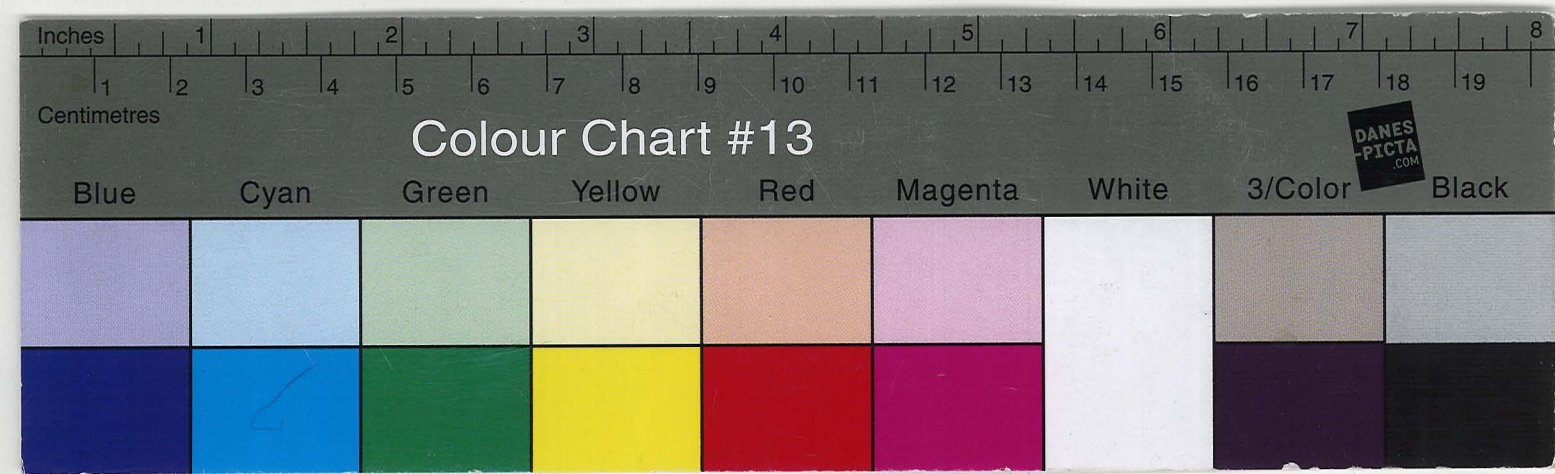
Zuzanna Morawska.

'Brzoza'

543

543





1.
Bach a.
Opowiadanie
L. Morawskiego.

Nikt na mnie nie zwracał uwagi, ale ja
i ser nikomu nie zwracałam.
Stałam samotna na wierzchu, dokota mnie
sterczący pnie drzew wysiętych i maleńkie
nie nie znaczące roślinki.
A ja byłam taką do broszą samotną.
Lecz od lat morek najintodnych kochałam wnytko,
co mnie słaczo.
Kochałam ziemię, na której wyrosłam, - ścioc,
drobno krewino i kwiaty, - zwierzęta, ludzi, nawet
muchy i komary, które krew z moich liści wy-
sysały.
Kochałam rosę, w której się cała chętnie ką-
pałam i deszcz, który sbytnię ulwą niera mi
dokuczył.
Nie kochałam jeno wicherów, co przychodziły zda-
leka, rzywały się nie wiedzieć słaczo, - chwalały
mą całą postać, obsypywały bradnym pyłem
białą moją szatę, rozwichrały wuzie warkocze,
usiłowały redneć koronę, a ziemię z pod moich stóp
wygarnąć.
Drapały ser niera tak, że o mało nie stawały
se scretu.
Wtedy kulibałam się w sobie, zbierałam wnytko
sity i trzymałam się ziemi, z której wyrosłam.
Ziemi mej ukochanej.
Zreszta, kochałam wnytkich i wnytko.
Było to kochanie, które na świat z sobą przyniosłam.
Ale prócz tego miałam jeszcze jedno, wytłacznie
moje kochanie.



Nie było to już kochanie, ale miłość, - miłość
nader gorąca.

A było to tak:

Jednego ranka kobieta przyniosła miłe chłopię,
posadziła go tuż przy mnie, obsypała do połowy
piaskiem i rekła:

- Siedź tutaj, Adamku, siedź i baw się, póki nie przyjdę!

- Ta drewna ochroni cię od wiatru i słońca, - dodała.

I spojrzała na mnie, jakby ten spojrzeniem odda-
wała mi dziecię swe w opiekę.

Przyjść mi je i czuwać się w obowiązku czuwać
nad nim.

I oto nie wiedzieć jak i kiedy wielce go umiłowałam.

Nazywałam go ten mój chłopakiem

Spiwając mi najpiękniejsze pieśni, chwilałam
gąszczami żeby go ochłodzić, gdy słońce zbyt się do-
grzewało, - chyliłam łuzie warstwy, żeby go od
wiatru ochronić.

Gdy kobieta go zabierała, patrzyłam póki mi
z oczu nie zniknął, - rumień ~~mojego~~ gąszczu biegłam
za nim, starając się do niego ~~go~~ ukotycić.

Chłopiec z początku obojętnie przyjmował moje starania.

Siedząc zakopany w piasku, bawił się spokojnie.

Nie zdawał się ten rozumieć, co mu do niego mówić.

Całem jeno podniosł błękitne oczka i patrzył
na mnie z podziwem.

To było dla mnie dosyć.

Dni mijaly, mijaly lata.

Wyrastałam coraz wyżej, a gąszcz moje rozra-
stały się w coraz gęściejsze warstwy.

Chłopak mój rósł również.

Nikt go już teraz nie przynosił, nie zakopywano
go w piasku, - Był zwały, wesoły, sam przybiegał.
Przybiegał codziennie.

Śpiewał rozmaite piosenki, wtórował mu numerus.
Często siedział miłujący, ramyilony, wstuchując się
w moje ~~septymne~~ ~~wpowiadanie~~.

Opowiadałam, co mi matka - ziemia mówiła,
co krople didiu septyły, co wiatr z dalekich stron
płynosił.

Mój umiłowany odpowiadał mi piosnią, w której
był odświżek tego, com mu septyła.

Teraz doskonałesmy się już rozumieć.

Byłam z tego dumna, szczęśliwa.

Wichry pnychodriły coraz częściej.

Dokuczały wnytkim dnem.

Ba, nie tylko dnem, ale i ludzium.

Wyrzywały niektóre dnawa z koneniem, tamaty,
dos samo cegniły z ludzium.

Były wnałse dnawa, które się wyrwać nie dały.

Byli i ludzie.

I ja trzymałam się krepko.

Trzymałam się, lecz drżałam o mójgo chłopca.

Nie pnychodrił już teraz codziennie.

Był w dalekiem mieście.

Pnychodrił jednak czasami.

Zogłądał na mnie i mówił:

- Broro moja ukochana, - jednaka nam doła! -

- Wichr darsł cię z zieleńi, rozcrochał twoje wał-
kore i mna, również samocze. Ale, nie boj się,
zabtygnie stoice!

Wtedy cuchałam wielką błogosć.

Błogosć, że mój umiłowany się nie tamie.

Czeka stouka.

I ja czekałam.

Ale niuś ow siał swój ukarabo, krople didiu
w srow się zmienićy.

Nie było wichury, - był jeno chłód pnyjmujący.

Wreszcie krople deszczu zamieniły się w drobne
białe gwiazdki.

Spadło ich tyle, że pokryły całą ziemię jak puchem.
Otułiły moje stopy, sięgnęły do swierżających się
gąsienic.

I gąsienice ugięły się pod grubą, białą powłoką.
Gasnąłam.

Jakas' błogość mnie przeniknęła.

Błogość snu.

Choć wichry rumiały, wyły, - nie czułam.

Spałam długo, bardzo długo.

I spało wszystko koło mnie.

Ziemia, ludzie.

Zbudziły mnie ciepłe podmuchy i jasne
promienie słońca.

Westchnęłam.

Deszcz ogwercy skapał mi z zimowej powłoki,
z zimowego snu.

Taki siewgotawy, roje muszek brzęcało w przelotno-
ści, ludzie się krętili.

Wyciągnęłam ramiona do odradzającego się świata
do wiosny.

Czułam, że we mnie żywej krąży soki, -
powinna być żyła szczęśliwa.

Straszliwa, jak inne dnawa, seprace pieśni dźwię-
czym, - opowiadające sobie bóle, troski, -
błogość snu.

I ja szeptałam pieśni wiosenną, - ale sum-
ną i tęskną.

Chłopak mój nie przychodzi...

Przypatwałam przecież tyle ziemi, - przeżyłam tyle
wiosen i w każdą przedbudzaniem go widziałam.

Cienus' teraz nie przychodzi?

Co robi, gdzie przebywa, czy wicher go nie wiał?

Ingrid wreszcie.

Przynęty prowadząc za rękę dziewczynę.

Była wysmukła, miała białą matę, długie warkocze.

- Ta bnoza mnie wykołysała. mówi, - wskazuje na mnie, - jesteś do niej podobna.

- Także porównanie! - odnekła sierpko dziewczynę wysuwając rękę z jego stowis.

- Bnydka, stara, swickrouo ma gaterie, dodała.

- Do nie jedew wicher nią szarpnął...

Stomaeryt chłopak.

- Ty rawne z wicherami i smutkiem, i ja lubię wesotose, radość, śmiech.

Poczęli się spneerac'.

- Kochasz więcej swoje książki, prace, stowarynienia, swiatki, iole, niż mnie! mówiła z nadaną miłą.

- Kocham cię najczyściej, najwinnosiej i najmitościej.

- Kochasz, a tak mało jesteś ze mną...

- Wiem przecie, że mamę pracować, że są obowiązki, których uchybić nie można.

- Wynyklarz sobie obowiązki.

- Rozumiesz chyba...

- Rozumiesz tylko to, że chcesz być kochaną, i chcesz, żebyś był wesoty....

- Wiem, co się dzieje, to do wesotosci nie pobudka.

- A ja smutku nie znam.

Spneerali się jeszcze dluzo.

Driaławo, żeby nie uległ tej jasnowłosej, i wstręst do niej uczaławo.

Wremcie dotnegławo, że sarucita ma ręce na szyję, usta ich przygnęty do siebie gorącym pocałunkiem.

Wedchustawo.

Nie mogławo błogostawic'...

Wyrysował dwa serca na mojej białej koscie,

na jednym napisał swoje imię.

- Napisz swoje na drugim! - prosił - podając jej scyzoryk.

- Jaki z ciebie dzieciak! zaśmiała się.

Wzięła oszczędnie scyzoryk i wykroiła: „Maja”

Drwna noc, gdy on pisał na mojej koscie, nie bolało mnie, - owszem, czułam jakby rękę dziecka, dotykającą z miłością łona matki, - gdy ona porębała nóżką, radziłam.

Doś mię przeniknęła.

Doł i chłóć, jakby jakies' potrzebujące stworzenie rozdzierało mi łona ostrymi maciami i chłóć swoim chciało mnie rzeźbić. Westchnęłam, wzdęsnęłam się, rozumiałam gaweriami.

- Pójedliny ślad - wiatr się rzywa, - broza Twoja narpię się, jak nalona!

- Nie mów ile o niej, - ja ją tak kocham?

- Ogrzekłżeś mnie tylko kochać.

- To inne kochanie, - ciebie ubóstwiam, brozę miłuję! ona nauczyła mnie miłować tę ziemię, - nauczyła być tym, czym być pragnę.

- My się z nią porozumiemy!

Odpowiedziałam na to delikatnym nurmem, nuciłam nawet kilka listów na jego głowę.

Maja się śmiała!

Wdeszli.

Patrzyłam za nimi długo, błogostawie nie uosyłam.

Drżałam i lek mnie przejmował.

Długo, długo nie widziałam mego chłopaka.

Mijały wiosny pełne nadziei.

Mijały zimy.

Zimy długie, ^{mroźne} ~~senne~~, nie przynoszące nic, prócz snu.

Gdy mijają rima zda się, że wszystko wokół
 śmiać się i weselić powinno.

Alte, - po zimowym śnie wszystko i wszyscy
 zdawali się drzemać.

Wiosny były mroczne, stare, beztępotnie nie
 budzące nadziei.

Wielkich wiatrów nawet nie było.

Były jeno mrakliwe podmuchy.

Nikt ich znać nie odczuwał, - drzemał.

I ja drzemałam.

W tym półśnie posmutniały moje długie gawędzi,

Czasem drgnęłam niepokojem,

Drgnęłam, gdy mnie jakiś daleki odgłos
 jak niewyraźne echo dochodził.

Alte i ja byłam obojętne na podmuchy wiatru,
 jak było obojętne wszystko i wszyscy.

Inne drzewa szeptały coś sobie sycze, - czasem
 do mnie szepot ten doleciał.

Słyszałam w uszu:

- Czy już czas?

- Jeszcze nie! - odpowiadały imnie.

I znów drzemały.

Wagle wiatry ruszwały gdzieś daleko, - bardzo
 daleko.

Przemy odległym toskotem przychodziły od wschodu.
 Czasem jak doleciał.

Żek, grów, toskot fal mora.

Alte to były głosy dalekie, bardzo dalekie
 i gota wierzące.

Drzewa budzić się zaczęły, - nastuchiwały.

Nastuchiwały nie bezpośrednio, wstrzymując
 oddechy.

I ja się ocknałam.

I we mnie żywiej soki krążyć zaczęły.

Wystrzygam słuch.

Głosy i runy dochodziły mnie coraz więcej, -
coraz bliżej.

Wyczuwałam, że wreszcie i wresztko budziło się
z drzemki.

Głosy te były mi^{tu}siuśmiałe, - rozumiałam je.

Współczuwałam i nadzieja ożywiła me serce.

- Mój chłopak jest tam, z nimi?...!

I dumę napędziło się moje serce.

- A ona, Maja, może go więźnia zapędziła! -

Przeknęło mi jak błyskawica.

- Nie, nie, po dokroci nie! - krzycały głosy.

- Nie! - odpowiadziałam sobie.

- Wszak sam wyznał, że nauczyłam go ko-
chać tę ziemię.

Alte wśród głosów idących coraz bliżej, słysza-
łam jakiś szum.

A każdy z nich wołał: ja, ja!

I nikt nie wołał: my!

I rozchodziły się one głosy jako fale morza,
pędzone wstecz przez wiatry, - a rozchodząc się
zwracały znowu ku sobie, uderzając wrażliwą
z całą wściekłością.

A od wschodu dochodziły coraz głośniejsze
runy.

Runy wielkiej druzgoczącej wichury.

Ató nagle wśród jesieni rabięto słonce.

Łabętyło tak jaskrawo, tak wielkim kręgiem,
że aż w nie trudno było wstąpić.

Z pojawieniem się jego wreszcie i wresztko
zucisło wielkim głosem:

- Nadzieja!

- Nadzieja! powtórzyłam cichym szeptem,
a rosa wieczorna, w której się pławiłam,
zmierzała się z moimi łzami.

I nie śmiałam prawie oddychać, żeby nie

słyszyc wielkiego słowa, które powtarzali wszyscy
i wszystko.

Dziwiałem w sobie - chwiałem dziwnymi gatęciami,
byłem pełna rozradowania.

A jednak...

A jednak nie mogłem uwierzyć.

Uwierzyć w to wielkie, pełne zaklęć słowo.

Las majestatycznie je przyjął.

Nie rozradował się rzytecznie, nie rzucał wiel-
kich szeptów, - słuchał.

Słuchał, - wstuchiwał się i milczał.

Czasem jako jakimś przywalającym szeptem
się rwał i znów nasłuchiwał.

A głosy rozchodziły się coraz żywiej, głosy
pełne radości.

Jakieś niesłychane od dawna dziwaki napętlwały
prętwone.

Jeno mienwały je podmuchy drzwie, - drzwie,
a rżota mierzane.

Wtedy las porzynał szumiec mrakliwie.

Mrakliwie i gniewnie, jak gdyby pytał:

- Co to?!

I jaśm pytała, bow nie nie rozumiała,
choc' mowa była ta, którą od dawna słyszałem.

Ale w mowie tej dziwaczny słowa, których
dotąd nigdy nie wymawiano, - słowa obce,
zapomniane.

I w mowie tej nie było zgody i jednoci.
Brat na brata poglądał niechętnym okiem,
a i rękę często podnosił.

I słychać było słowa rawieci, a nie dosto-
ni raru do mnie "my" ale "ja".

A kiedy jedni wnosili modły i śpiewali
pieśni od dawna już nie słyszane, inni z ny-
derstwem poglądając, wołali:

- Pieniądzy!

I nie było w ich piersiach miłości do matki ziemi, i nie myślało o jej losie, a do braci miasto miłości, była nienawiść.

Podnosili się do siebie pewne groźby, jeden drugiemu raził lepszego kosa i pisknięcej straty.

I myśli, i czyny, i głosy tych ludzi splątały się tak, - że nie rozumiałam czego chcą i do czego dążą.

Nie rozumiałam, ja, co w od lat tylko wycofała każdą myśl ich i każde pragnienie.

Nie rozumieli oni sami.

A oni opuszczeni ręce, chodzili bezczynnie, a jeżeli je podnieśli, to tylko z groźbą i wołaniem:

- Pieniądzy.

I miasta stumiące dotąd łoskotem pracy i oddechem maszyn, umilkły w swoim odgłosie, stojąc jak niewer, a ludzie wybladli, pijani śród nienasyconą wycia, snuli się wzruszając:

- Pieniądzy!

A nie tylko tych, co byli w miastach lecz i tych, co po czarnej ziemi pług prowadzili, opuszczała śród posiadania i wycia.

I porucali pługi, zostawiając matkę ziemię nie opatrzoną, wołali:

- Oddajcie nam to, co macie!

A nikt nie wiedział i nie rozumiał dokąd go śród posiadania prowadzi i nikt wśród tego kryku nie rucił słowa „sprawiedliwość”.

A byli tacy, co usmiechając się podniecali śród wołających.

Podniecali śród sami używając, a nie dawali sobie sprawy, czy śród tak może być zapokojony.

I w bratobójczej walce rzucał się na siebie
~~wzajemnie~~ i na tych, którzy o matce ziemii myśle-
 li, a byli ich braćmi.

A wiezienia pełne były jednych i drugich i
 głos ich dochodził do mnie.

Dochodził z każdego podmuchem wiatru.

Przypomnę o tego chłopaka.

- Gdzie jest? czy nie obłąkał się, czy
 równie wierzy przesłowiom i rozumowi, jakę
 z nim widziałem?

Ale on nie przychodził.

Żadnej echo wieści o nim nie przynosiło.

Tar spodnieżem i olącą Maję.

Była w towarzystwie innego mężczyzny.

Przemawiali wesoło.

Maja była uśmiechnięta, promienniejąca.

Skierowali się w inną stronę.

Nagle, Maja wzięła go za rękę towarzysza,
 prowadziła go wprost ku mnie.

Stałeli.

Maja śmiejąc się pokazała mi dwa serca
 wygrzebane na mojej koscie.

Co mówili, nie wiem.

Mowa ich była mi obcą, jak obcą była
 twarz jej towarzysza.

Nie rozumiałam ich mowy, rozumiałam wrakże,
 że Maja sydziła z sercem wygrzebanym.

Ładzągotowała w sobie.

Towarzysz Mai śmiał się, jak i ona, wskazując
 na wygrzebane serce.

Chciał rednąć ją, zwinąć.

Wyjął nóż i ugodził w serce Adama.

Ładzągotowała z całej siły wystrzikiem gawęziami.

Maja złękała się ich szumów, a wzięła

ra rękę łowcy, w dal pociągęta.
Odesli.

Odetchnęłam.

Alle ból do głębi mnie przejmował.

Serce Adama było rażone.

I coraz więcej dochodziły mnie rozmaite
smuty.

I coraz częściej słyszałam smieszne śmiechy.

I coraz częściej wicher przynosił mi nową obcą.

I już ktoś mnie i różnemi drogami szukał
się ludzie.

Szli z rozmaitych stron i w różnie udawali
się strony.

Alle szli miłujący i pełni łęku.

Nie raz odpoczywali u stóp moich.

Wtedy wstrzymywałam oddech, by ich
nie trwożyć, - rozposierałam szeroko gałę-
zie, aby ich osłonić...

Nagle jakiś spokojniejszy powiew do mnie
przybywał.

W powiewie tym nie wyczuwałam bratobójczej
walki.

Zgodne głosy wotały:

Nadstępa.

Tak zgodne, że aż im nie dowierzałam.

Wytężyłam wszelkie moje siły i poczęłam
oddychać tą samą myślą, jaka grąba w tem
zgodnem wotaniu.

A słońce mimo mgły jesienniej wstawało stołe
i jasne, rzucając ciepłe promienie.

Wśród takiego słonecznego dnia przybiegł mój
chłopak.

A objawny ma podać, przyłożył głowę i
z wielkiem ukochaniem przygryzł do mnie

swa, piersią.

Zarumiałam z wielką piersią.

Zrozumiał miłe, + podniósł wzrok do góry.

Miał lice blade, postarzałe, - włos średniaty -
leci oczy błyskawicy wielkim saporem.

Rozmawialiśmy chwilę.

Doskonale rozumiał moją mowę, - ja wy-
rywające się z jego piersi wyrazy.

Nagle spojrzął na stracone swe serce.

Posmutniał, - ramylibit się.

- Tak, - wnak ona tyle rary je ramita! -
szepnął.

Wkrótce nadeszła Maja.

Wskazał jej stracone serce.

Wirumyła ramionami.

- Zapewne padłuch jaki rucit kamieniem!
mekta syderco.

- Tylei rary je ramita, ar brosa to odczuta!
mówit, biorac ja, sa rsko.

- Wotydi się, - nie jesteimy już dziećmi, żeby
się bawic w stelaukę! mówita cietpko.

- Nie jesteimy dziećmi, leci kocham cę jak
ougi, - kocham gorzej.

- Kocham, w nie chceci nie uszynic' dla umk.

- Coś chceci, Majo moja!?

- Chceci twojej miłosci niepodzielnie!

- Mam ja, oddawona.

- Nieprawda!

- Nie kochabem nigdy, - żadna iuna ko-
breta nie posiadta mojego serca.

- Nie o kobietę mi chodzi.

- Wize?

- Chceci, żebyś był tylko dla umk!

- Majo, olok miłosci dla ciebie, jest jencre iuna,
która: sola na swiat pynorny.

- Dla mnie możeś tamtę poświęcić.
- Nigdy!
- Wybieraj więc, - albo uchodziś ze mną, albo...
- Albo? zapytat.
- Albo nie ujrysz mnie więcej! odnektu Maja.
- Nie kocham mnie więc?
- Kocham, drż o twoje życie, dla tego chcę cię uprowadzić!
- O moja najdroższa!

Usta ich spotkły się pocałunkiem.

Maja rzucała mu ręce na szyję, a wśród pocałunków szeptała wciąż jakieś słowa.

A ja wstrząsnęłam się całą i całą siłą wiszących się gałęzi szeptałam słowa rakłęcia, a w sercu tym powtarzałam:

- Nie wien, nie wien!
- To zdradzi ci, - zdradzi ci ciebie i twoich najświętszych uczuć.
- Jeżeli pojdziesz za jej głosem, wegadrisz sam sobą, - będziesz gorzynie niż robak wylęzły w ogniliwie.

A Maja wciąż kusila:

- Kocham mnie, więc poświęć się dla mnie!
- Dla ciebie miłość; dla sprawy poświęcenie.
- Nie chcesz więc pojsić za głosem moim?
- Nigdy, nigdy!

I odtrąciwszy od siebie uwodricielkę, biegł szybko, - biegł bez powścią.

Odetchnęłam.

Maja podniosła głosiwie racisniestę piście ku górze i rzucała przekleństwo.

I now różne głosy odgrywały się w mekławoni.
 Ni naraz jedeno, jedynny diwiseruny i rebem powagi
 domedł do uwiek ussu.

Była to pieśń wgrucana z tysiąca pieśni.

Pieśń wielka i święta, pieśń zgody!

Pieśń, którą dyktowało ucrucie.

Pieśń, przed którą ustępowały wszelkie moce.

Pieśń, grająca taką potęgą, że nawet najstrońne wiatry ukonyby się przed nią.

Ucichły.

I robiła się taka cisza, że wiodł niej słychać było kołatanie serc ludzkich.

Kołatanie zgodne z kołataniem rozgłoszonym drzewom.

Drzewy odrywały się poważnie.

Odrywały się we wrypkich stronach tej ziemi, - w najdalejszych jej rękach.

A serca we wrypkich pierniach drgały jednogłosem wielkiem ucruciem.

I była taka chwila, że kto tylko był, porówny od starca, co długo nie wstawiał z sobą, aż do dzieciąt, które matki nisły na rękach, - siedł na głosom tych drzewom.

I umiekły wszelkie rawisier i niesuastki.

I wrypy mieszkawcy tej ziemi poculi się jej briciem.

Braciem.

I nie było nikogo, ktoby do tego braterstwa nie chciał należyć.

I ci, ~~którzy~~ tego, co rądzi światem nazywają Bogiem

I ci, co Go rwa Jehowę.

Nawet, ci, którzy w zapamiętaniu swoim nie uznają Go wcale.

A gdy drzewy wrypkich rwowały, - ucichły.

Ucichły, a snowa pieśń nią oswała.

Pieśń potęgą swoją, bijąca ku niebu.

A pieśń tej łowanymyć kuno rozwiniętych szeroko proporców, co jak skrzydła ptaków rrywały nią do lotu.

I las dotąd milerący stał się z nią pieśnią,
swoim summem.

I kasała drzewna kotyłała gązdzie diwizując pieśń
wielką.

I ja, broń samotna, rozwiataw szeroko moje
flucie warkocze, taćca się z pieśnią pływającą,
ze wszystkich rakałków tej ziemi.

Wszak i ja bytam jej dzieckiem.

Wszak i ja brałam soki z jej towa.

Wszak i mnie ona wykotyła.

I crubaw w owej chwili tak wielką bógosć,
że rapoumiataw o wszystkich wichrach i ra-
mieciach, - o wielkiej krywdrze jaką mi
ona wygrądała.

Miałam tylko w sercu meo wielką miłość i
wielką nadzieję.

I wielką wiarę, że chwila ta nie przeminie.

Nie przeminie i stanie się promieniem, ru-
cającą światło i światłość.

A światłość ta rozprozy ciemności i rapto-
mi ziemię ciepłym odradzającym.

I z dumą myślałam, że chłopak wykotypany
moim summem i rochoworem jest tam, gdzie
być powinien.

I wielka miłość przepelniała me serce.

Miłość ku ziemi żywicielce.

Miłość ku niemu.

Lece oto nagle serwały się usów groźne porutki.

Zawyły wichry.

Zawyły gwałtownie, Tamias i Durgocza,
wszystkich i wszystko.

Wyły namocząc najstarszymi drzewami, usi-
jąc wyrwać je z korzeniem.

A jako stał dotne rakonemionem wiciektosć

swą wywierają tak i nad młodościanami i nad
najwęższymi.

Lecz sakorenicie, nad którymi nie jedna już
płenna wichura i nie jeden grzmot w nie uderzał,
stały kępko i twardo.

A wiatry i młode zwały się razem i nie uległy.

Lecz były i takie tak z pomiędzy starych i wy-
stawałych, jako i z onych wiatrych, że ulegały
wichurze.

Legły wydarte z matki ziemi, lub porwane wich-
urą porwały się unieść.

Unieść, gdzie pnieł się jego potęgę się podobano.

A wśród tej swojej mocy wicher chichotał, cie-
sząc się i lekko wyrwał choćby najwęższą
roślinę.

I unieść szarpnął, szarpnął wszelkimi siłami.

Potrząsał mi liście i rozwichrzył długie
moje warkoce.

Szarpnął wierzchołkiem, usiłował wyrwać z ko-
rzeniem, unieść ziemię z pod stóp moich.

Chwile były straszne, lecz jam już tyle ich
przewalał!

Lecz nieli podmuchy wichury boleśniejsze mi były
zgryły i szarpiające głosy, które znów zaczęły
mię dochodzić.

Zapomniało o wielkiej pieśni, o wielkiej
chwili jednoczenia i miłości.

Każda pierś napęczniała była inną myślą i
innym pragnieniem.

I znów zaczął się krzyk szarpiających głosów:

I znów nie było głosów „my” a rozlegało się
na wszystkie strony „ja”.

A krew strumieniami się lała, krew bratnia.

I rapach tej krwi rozchodziła się surowizną wo-
nią, rozszarpiąc przetrwane.

Luna czerwona wnosita się we mgłę porannej i rumienita nią mrok nocy.

A gwiazdy patrzące z błękitów rastaniały się chmurami, aby widok okrucieństwa nie raził ich światów.

A gorzej od krwi rozlewów był brak nadziei.
I wielka zgnilizna i wielkie zło, wdierające się we wszystkie zakątki ziemi.

I począł mnie ogarniać lęk.

- Gdzie chłopak mój? gdzie?!

- Co się z nim stało?!

A wiriał smutku i lęku drzawom o wiozę.

Mijały mi dżugie, dżugie...

Cisza zaległa Daskowa.

Lecz nie była to cisza kojąca.

Była jedną z tych, co sprowadza w naturę, dremkę.

I z tych, gdzie wnyscy opuścili strony, nie wiedzą z której strony i jakiej jąc się pracy.

Das stał znów miłujący.

Czasem szeptały między sobą drzewa, lecz nie był to szepot, co przynosił ukojenie.

I we mnie ukojenia nie było.

Zdawało się, że dremię jak wnystko i wnyscy, a jednak wciąż niepokój wstrząsał mną całą.

I serce miałałam pełne bólu, i ból ten przemawiał mnie od koneni zapuszczonej głęboko w matkę ziemię, do wierzchotka wnoszącego się ku niebu.

I gąłerie moje posmutniały.

I byłam jako ta, co cierpi cierpieniem swych ukochanych.

Cierpi, nie mogąc przynieść im ulgi.

Aż raz jednego przybieżał Adam, chłopak mój.

jedyny.

Był jeszcze więcej blady, lice wyrażały cierpienie,
w pniecionych włosach widniały białe nici.

W całej jego postaci znac' było nie tylko ból, lecz
i smutek.

Wstrząsnął się cały i pocierał sumieniem swajm
go pocieszać.

Lecz on słuchał mnie z rozstępnieniem, jak
gdyby sumie mego nie rozumiał.

I nie odpowiadał ani słówkiem, nie zaczął
piesni choćby najsmutniejszej.

Patrzył błędniei oczyma przed siebie, usta jego
nie wydały dźwięku, pierś ani jednego westchnienia.

Wpyliwałem się, żeby swrócić jego uwagę, na sum
moich gątezi i na to, co tym sumem chciałem
powiedzieć.

Naprawdę!

Wtem zdawa ukarała się Maja.

Szła w łowangstare tego samego mężczyzny, który
przerwał serce mego chłopaka i otę mowa, wiódł
z nią rozmowę.

Szła w ciszy, jakby się skradając.

Szła jak ci, których ramiany i cny nie są
dość jasne i cnyte i boją się, żeby ich myśli
kto nie podsłuchał.

Chłopak mój ujrzał i jakby zrobił ruch, jakby
chciał uciec.

A ja rozumiałam:

- Uciekaj! spiesz się!

Lecz on znac' nie rozumiał mej mowy.

Lęk mnie ogarnął, bo czułem, że ci, co
się zbliżają przyniosą niemięciście.

Chłopak wahał się chwile, potem w przeciwną
począł iść stronę.

Szedł ociężałym krokiem.

- Uciekaj, uciekaj! nagliłam.

Leer i Maja ze swym towarzyszem przyspieszyli kroku, okrążyli wrzose i ranli mu drogę.

Maja wzięta stoi jego, chłopaka i zwróciła kō mnie.

Dał się prowadzić jak dziecko.

Towarzys jej siedł z drugiej jego strony.

Mówił coś, słomaerę.

Chłopak miał lice jeszcze więcej smudze, jeszcze większe nieczyste w nim widniało.

Pryskli jak ku mnie.

Zarumiałam z głębi całej mojej istoty, wy dobyłam wszystkie siły, żeby stawać moją zmasła oddziwiłk w sercu mego ukochanego chłopaka.

Alę Maja nie puszcając ręk jego mówiła:

- Wszystkie, co czynię, czynię z wielkiej ^{ku tobie} miłości. ~~ku tobie~~, - przecierpiałeś tyle i jeżeli nie ulgniesz mi na prośbom, nie pojawiam za głosem moim, imierę cię cieką niechybna.

I tuliła się do niego, obejmując w ramionach.

A ucisk jej zdawał mi się być uciskiem jadownej smu, sączącej stracisnę.

A towarzys jej coś mówił, ~~co~~ przekładał.

Nie rozumiałam jego mowy, lecz czułam, że mówi rzeczy złe i hańbiące.

Swar miał układną i chytrą, jako lis, albo wąż kusiciel.

Chłopak mój wstrząsał głową, zdawał się precyję, obunac.

Obunac się, lecz coraz słabiej.

- Zapomnij nas już! Co przeto nie wróci! mówiła Maja.

- Wszystko to było manewiem, studną maza, która się jak mgła rozwiła.

- Do życia i szczęścia potrzebna jest rzeczywistość...

- I miłość moja! - mówła tuląc się i nękając
ust jego swemi ustami.

- I pieniądze! dorucił łowczyni.

Zrozumiałam, chociaż wyrekł obcą mowę, bo
je ukazywał osłabionemu uciskami Mai, ~~mojemu~~
Chłopakowi.

Zatrząsałam się.

~~Tak~~ Tyszałam tak silnie całą moją podłacią, iż
zdawało mi się, że wyrwę się cała z korzeniem.

Pruciałam liście i gałęzie na ich głowy...
Chciałam temu wrócić uwagę niesmersiwego
Adama.

Leś on był tak zgnębiony, tak upojony ca-
łunkami Mai, że nie rozumiał, ^{nie} nie chciał nic,
proś truciwy z jej ust sęcronej.

A Maja i jej łowczyni byli tak rajscy
namową, tak nalegali, że nie wracali uwagi
na gwałtowne moje ruchy i oburzenie.

Wrencie Adam szepnął coś sziacha..

Szepnął tak cicho, że mu dotrzeć nie mogła.

Onie dosięgnęłam, lecz odrzuciłam.

Odszedłam całe jego nieszczęście, hańbę, wiarołomstwo.

Maja okrywała go dalej pocałunkami, szepnęła:

- Jesteś moim, prawdziwie moim!

Łowczyni jej ujął go raz swierszoną ręką, trząst
nią, i ~~powtórzył~~ wrzucił pieniądze i powtórzył.

- Ty nasz, nasz!

Wstrząsałam się od stóp aż do wierzchołka

Serce pękało mi z bólu.

Pękało i pękało.

Chciałam wyzwać się, z kochaniem, runąć na nich...

Na niego!

Nie mogłam!

Ziemia dźwignęła mnie silnie!

Prawa, ktożby stał na straży?

Chłoby jej tak miłował?

Dziewotałam się w wsiechłym bólu!

Aż oderwałam jedną z najgrubszych moich gałęzi.

Krzyciałam ja, w całej kuciości.

Chłoby z towarzyszem uciekli.

Chłopaki mój padł z roztrzaskaną głową...

Wzloty! - westchnięciem.

I kuciałam na niego listie.

I wstałam mu wielką, mieloną mogiłą.

I ichym szeptem kuciałam:

- Słuch z swoich popiołów wstaną silni, co nie ulgną, potłusie!

Słuch wstaną i unyma, odrodzenie!